



ŻABA



Bezpłatny dodatek humorystyczny do «Nowin», wychodzi co drugi tydzień.

Rozrywka jest najlepszym lekarstwem na wszelkie dolegliwości.

Rajze i godki Gustlika Kocyndra.



Psiakrona! Myślicie, że mi Bartkowa odprosiła? — Baba milcy jak zaklęta! Biere zarozki on list z wyzwiskoma i przedłożył go panu redaktorowi, coby to ogłosił. A on mi pado: „Wies Gustliku, o nicem nie poradzis łosprowiać, jak wdycki o babach, widocznie musis baby strasznie lubić, bo głodnymu chlyb na myśli.“ — „Pramenty!“ Rozumie sie samo przez sie, ize baby lubie troche bardziej jak święty Michał djobła, ale znowu nie jes tak źle, cobych baby obce i swoją własną, jaką ta mam, bardziej lubił jak sam siebie. A pan redaktor nie powinien sie dziwować, zech miał baby na myśli, bo chop mający swoją własną, ślubną babę, nołprzedziej w nią uwadzi, bo stare przysłowie pada: „mąż i zona to jedno ciało!“ Na ten przykład chce chop ze złości kogoś uwalić, to kogóż uwali jak nie babę, kiej ma ją zaraz pod ręką. Chce chop zrobić kłopot, harmider, zeby pokazał co on znacy, no to, ktoz do tego jes najodpowiedniejszy jak nie jego własna staro. A choćby casem dostał od baby po trąbie, coby on je miał na-

karcić, to tez nie dziwnego, bo od własnej, swojej ślubnej baby, i do sądu nie puda, jak z kim inksem. Cy nie prowda, he? Cy nie mom świętej racyje? Baby, to som baby! Zebyś babę jak zabę kosą na poły przecioł, to ci nie ustąpi, to jes wiadomo rzec, bo joł sie o tem na własne ocy i usy dobrze przekonał. Widziołech jak Bartek nieraz swoją babę zeproł, ze sie widziało co gulaś śniej bandzie, a ona mu do dziś dnia zyje i zdrowsa jak on, a nawet nową gromnicę sprawiła i padała: „Jak mój chudocek, Bartek nogi bandzie wyciągoł, to mu muszę pół łokcia gromnicy wyświecić, bo jes tego wart!“ Ej baby, baby! zeby tak pan redaktor przystoł na to, to bych wam co w każdej „Zabie“ wywalił „kawę na ławę“ bo na to zasługujecie. Ale co robić, jak się już cowiek potocyl na wieki wieków, na babę, to jus bez baby ani rus, bo jak ksiądz związe, to jakby przyrosła do cowieka, jus cie nie opuści az do śmierci. Zeby sie był Hadam obudził, jak mu Panbóg zioberko wymował, a nie dał go rusać, to coby nom było? Byliby my se chop w chopa na swoim miejscu, aniby się nom o babach nie śniło! A..a.. ale joł tak dzisiok gadom, bo niedoś o głupia Bartkową, ale i to, bo mnie moja Dorka krzywą gębusią i pazurkoma pogłaskała a tes i pan redaktor nie chce onych przezwisk od Bartkowej ogłosić. — Kiej mu nie dobrze gadam, to niech kogo lepszego wysuko — mozno takiego coby zarozki pocieglem walił — a potem łosprowiał, ize jes abstynentem (mozno od wody) i zeby ludziska trawę jedli — a on by po „kafekach“ wursty zjadał i siampany spijał.

Posedłech tez do durkarni ta nową maszyną obejrzyć, co ją to durkorze nazywają „zelazny kolega“. Ledwie zech wleż, juzech miał nogi związane, i byłych na nos upodł. A ci durkorze w śmiech. Psiakrona, padóm, co to jes! — Panie Gustliku, padają, to jest taki zwyczaj w durkarniach, jak chto chce coś widzieć, to nie darmo, trza dać coś nalepszą. Miołzech jesce piątka, to posłali se po piwo. Ale tako masyna, to coś dziwnego! Siedzi se jeden na stołku i gro jak na jarganach, a litery same ślatują, trochę pomyrdoł, juz zwoni, wierch pełny, ręką przyeciśnie, leci sóm wierch

do odlania — sykniesz trochę, wierzch caluski z boku wylazi a litery chyci jedna pazura z wierzchu, ale ze żelaza, podniesie, wlepie niekąd przysły, każdą na swój plac, a ten na stoliku już mo drugi wierzch gotowy, bo już masyna zwoni, że jest pełny. Myślałem, że to cary cy co, ale nie można tak opisać, jak prawie jest, to niech koczdy przyjdzie sóm obejzdrzeć, jeno nie zapomni parę ceskich zabrać do kabzy. — Ci durkorze muszą dobrze umieć cytać, boch widział tam takie pismo, jakoby jakie hieroglify. Pytam się jednego, cy to idzie cytać, a on mi pado, to jeszcze idzie, jeno trochę gorse było tedy, jak mi koledzy kurzatko złapali, umoczyli w rapetki w jękośćcie i puścili je na arkusie białego papieru tam i nazod, a potem zech miał przeczytać — wszystko sło, przeczytałem, jeno jednego słowa ani rus, a to było słowo „Gustlikkocynder“ w kupie, bo kieby było osobno toch też przeczytał.

Psiakrony, ci drukorze! Niedoś iz pięć ceskich zemnie wydusili, to mnie jeszcze za błozna robią. Ale jo się ta odwdzięca, bo ich wszystkich opisa w granaty i dam do gazety postawić, choćby 5 marek kosztowało.

Krzywołapa tak mi pise:

Szanowny Gustliku! W tym to nowym roku wywiodeś nas bardzo daleko w pole, obiecałeś nam, że będziesz wykladał ze starego testamentu, a tu wyńcej nie było, jeno iz się Noe opłł. A tu naraz piszesz o czarownikach jak se to miotłami grzbiety, wygarbowwały. U ciebie musi coś brakować, albo masz pamięć lichą, alboś do szkoły mało uczęszczał iżeś się lepiej biblij nie nauczył. Ja liczę siódmy dziesiątek, ale jeszcze coś więcej w gowie mam, bo jeszcze pamiętuję jak to budowali tę ogromną wieżę w Babel, przy której budowie Panbóg im języki pomieszał, o Sodomie i Gomorze co ogniem siarczystym z nieba były spalone, o Abrahamie, Izaaku i Jakubie co miał dwie żony, za które musiał czternaście lat Labanowi służyć. O Józefie w Egipcie, jak on to potrafił sny wykladać, o Mojżeszu jak on to sprytnie wyprowadził żydów z niewoli egipskiej aż do jego śmierci, ba nawet wiem jak to Jozue wojował z Filistynami, gdy obiegali miasto Jerycho, gdy muzykanci zaczęli trąbić na baranich rogach, to się mury miasta Jerycha same obalały, tak że było można ze wszystkich stron do miasta wnieść. Chwalił eś tes swego czasu terazniejszych muzykantów, że posiadają jakąś tajemniczą moc, że gdy zagrają to same nogi przebiegają, ale to nic do takiej muzyki jak była w starym testamencie. Gdyby dziś mnzykanci posiadali taką moc, jak ci pod Jerycho, to by nie było potrzebno żadnych armat, więcby i Krupp musiał zaprzestać armaty budować. Na dziś będzie tej przypominki dosyć bo by redakcja musiała jeszcze jeden dodatek więcej drukować, a farba drukarska jest droga. Tak cię pozdrawiam szan. Gustliku i przebac mi, je-

żeli bym cię w czem zaczepił, bo na wiosnę przyjadę tam do Opola to cię też w Redakcyi odwiedzę.

Z szacunkiem

Krzywołapa.

Widać, iz tera ludzie nie mają roboty, bo mi piszą jak najęci, a jeden to nawet krupniok posłał z mięsopustu i długie pismo. Krupniok toch zjod, choć już był kwaśny, ale pisma to jakoś strowić nie umiem. — Pisały mi też jeszcze dziolchy, choć wiążę ich ożeniony i to Kaśka z Jewką z tej wsi co nad Odrą wisi, coby ich jechoł śniami w daleką podróż, bo z młodzieńcem to się boją jechać na Sakse. Jo by już ta jecho, kyby dobrze zapłaciły, ale co by Dorka na to padała.

Skończyłbym już na dzisiaj, ale mie Wiercipięta z pod lasu już po drugi raz i to po złości się zapytuje, co to jest telegraf bez drutu. Odpowiadam krótko: 1) jeżeli się psa zdrodki na ogon nadepnie, a on pyskiem ugryzie, 2) jeżeli ja se pożycom przy kartach dwie marki od szwagra, a jak przyjdą dodom, to już Dorka wie, iżech śtyry marki pożyczę, 3) jeżeli Myrdaliną Pan Bóg obdarzy scególnem błogosławieństwem w osobie małego synka, a Myrdała chce telegram posłać do potków, a wtem już wchodzi potka z trzeciej wsi z obiadem itd. itd. To jest telegram bez drutu, bardzo wartki, jeno iz nie mówi prawdy, a nie kosztuje, jeno cyjaś skórę. Ma on centralę rano o 6 przed kościołem, w targi na maślanym rynku, i tak jeszcze przy darcu pierza. Hasłem telegrafu bez drutu jest: „Ale nie po wiedzcie zoznemu!“

Gustlik Kocynder.



Sama się zgañła.

Lokatorka A: — Ci nowi sąsiedzi są bardzo nieporządni. Nie mają ani żelazka, ani sitka do herbaty, ani czajnika.

Lokatorka B: Jakim sposobem się pani o tem dowiedziała?

Lokatorka A: Bo chciałam sobie od nich pożyczć....



To byłoby trudno.

Znany rajzender pan Felddegenkrawall ma bardzo ostrą żonę, która się nań zawsze gniewa, ile razy on spóźni do domu.

Onegdaj wrócił on o godzinie pierwszej w nocy i cicho wchodzi, ażeby nie obudzić żony. Ale na nieszczęście swoje przewrócił fotel z hałasem, czem obudził żonę.

— Co to za grubiaństwo — woła żona z łóżka — wracać tak późno do domu.

— Czemu późno? Dopiero 10-ta godzina.

— Dziesiąta godzina? — woła zirytowana żona — właśnie stróż nocny wytrąbił pierwszą.

— Nu tak — mówi mąż — wytrąbił jedynekę, ale przecież nula nie może wytrąbić!

NA PRZYSTANKU.

Tramwaj elektryczny przepełniony staje na ulicy Siennej. Jedna pani wysiada, druga wsiada i obie spotykają się na przednim pomoście.

— A, to kochana pani — mówi pierwsza — jakże się kochana pani miewa, cóż słyhać nowego?

— Ot, jak zwykle — powiada druga — chociaż nie brak i nowin. Mianowicie moja Jadzia bardzo dobrze zaręcza się tymi dniami...

— Czy być może? Z kim?

— Proszę pani — wtrąca się motorowy — zdaje mi się, że pani chciała wysiadać, bo my jedziemy dalej...

— Ależ zaraz, przecież pan widzi że wysiadam. Więc z kim się córeczka zaręcza, bo mnie już pali ciekawość.

Tymczasem konduktor daje znak do odjazdu a konduktor dzwoni.

— Zaraz, zaraz panie, już idę, ale ta pani mówi mi coś, to muszę wysłuchać, tylko jedno słówko mój panie, więc z kim?

— Wie pani — mówi druga — zaręcza się Jadzia z tym Paćkowskim, który u nas od miesiąca bywa. To proszę pani człowiek na stanowisku, stateczny, z dobrej rodziny, a charakter powiadam pani, złoty...

— No, to szczęście, prawdziwe szczęście, powinnować. A ja, przyznam się pani, że już się czegoś dawniej domyślałam, tylko nie chciałam mówić...

— My jedziemy — powiada motorowy bijąc w dzwonek — proszę nareszcie wysiadać.

— Ależ to z pana niecierpliwy człowiek, przecież pan widzi, że już idę. A niechże nas kochana pani łaskawie odwiedzi, do widzenia, muszę iść, bo się temu panu bardzo jakoś spieszy, więc czekamy z niecierpliwością, może jutro po południu...

— Jutro nie kochana pani, bo mam pranie a pani wie, że jak się ma trzysta kawałków do prania, to gospodyni musi w domu siedzieć.. a prawda chciałam jeszcze spytać, co pani bierze do prania, bo chlorek podobno bardzo niszczy bieliznę...

— Niech Bóg broni, tylko bez chlorku. Najlepiej czysta woda a potem...

Motorowy znów dzwoni, wreszcie rusza.

— Zaraz, zaraz... czy pan zwaryował? Przecież widzi pan, że tu jeszcze ktoś wysiada... proszę zatrzymać wóz... także jakiś sposób... Do widzenia, do widzenia.

Tramwaj staje; pani wysiada oburzona i woła już z ulicy do tamtej:

— Prawda, jeszcze coś miałam pani powiedzieć, no, ale to jutro...

W domu.

— Proszę tatusia, co to jest prawo?

— Daj mi spokój synku, ja się na tem nie znam, ja jestem polak.



W kółku rodzinnem.

Rozmowa między ojcem a 20-letnim synem.

— Teraz, wie ojciec, wszystko jest modne co ciasne, ubranie ciasne, kołnierzyk ciasny...

— Czy i w głowach też ciasno? — zapytuje ojciec.

O czem myślał.

Jakób Mayer spadł z trzeciego piętra, ale tak szczęśliwie, że się nie zabił. Wóz stacyi ratunkowej przybył natychmiast na miejsce, lekarze zaopatrzyli mu kilka ran i przewieziono go do szpitala. W szpitalu wypytuje go lekarz o przyczynę wypadku i wreszcie pyta, jakie miał uczucie podczas spadania.

— Jakie uczucie? — pyta Mayer — żadne uczucie...

— No, ale przecież — pyta lekarz — co pan myślał spadając w nocy z takiej wysokości, o czem pan myślał w powietrzu?

— Nu! ja sobie myślałem przelatując koło pierwszego pientro — czemu ten Silberstein o 1-szy w nocy potrzebuje świecić lampy.



Poszukiwanie.

„Mąż mój, Ignacy Potulski, wyszedł przed tygodniem w gniewie z domu i nie powrócił jeszcze. Ubrany był skromnie, blondyn, średniego wzrostu. Znaki szczególne: podbite lewe oko i na obu policzkach miał znaki od podrapania. Ktoby o nim wiedział, niech raczy łaskawie zawiadomić stęsknioną jego żonę.

Wzór.

Chłop: Panoczku, nie moglibyście mnie powieścić, w jaki sposób stali się tak opasłym?

Jegomość: A cóż was obchodzić może moja opasłość?

Chłop: No, no, ja chciałem jeno się dowiedzieć ponieważ moja świnia w tym roku jakoś nie chce utyc.



Żona jest:

Dla adwokata — ostatnią instancją.

Dla lekarza — ospą.

Dla literata — artykułem kwalifikującym się do kosza.

Dla aktora — rolę, którą ma wbić w łeb do końca życia.

Dla kamienicznika — gmachem, wymagającym ciągłej restauracji.

Dla autora dramatycznego — twórczynią scen dramatycznych.

Dla aptekarza — pigułką.

Dla kobieciarza — parawanem.

Dla bankiera — wekslem nie do zdyskontowania.

Dla dziennikarza — korektorem.

Dla zecera — nieczytelną kopią.

Dla sędziego — sprawą przegraną.

Dla skrzypka — tłumikiem.

Dla dyrektora orkiestry — dysonansem.

Dla dentysty — jamą ustną nie dającą się zamknąć.

Dla malarza — pudłem farb.

Dla rzeźbiarza — statua przeznaczenia.

Dla litografa — kamieniem.

Dla historyka — marą słodkiej przeszłości kawalerskiej.

Dla rzeźnika — kawałem mięsa.

Dla jubilera — brylantem z czeskiego szkła.

**Redaktor polski na pięć minut przed „dobrowolnem“ zamieszkaniem
w zacisznym „hotelu“ pod godłem „więzień polityczny“.**



Dozorca: Musimy pana redaktora przede wszystkim zważyć, abyśmy mogli później stwierdzić, o ile kilogramów pan utył, i przez to udowodnić tym polskim szowinistom, że u nas nie jest tak źle... jak wygląda...